Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 171 (Rok XI, Nr 5) 1 marca 1951 Cena (Price) 1/6

CZY I KIEDY ORGANIZOWAĆ WOJSKO?

WOBEC nadciągającej, nie tak szybko na pewno jak się niektórym marzy, ale niewątpliwie nadciągającej nowej wojny światowej nabiera aktualności zagadnienie udziału zbrojnego w tej wojnie ze strony emigracji polskiej. Sprawa jest ważna i poważna, choć nie jest sprawą najbliższych tygodni. Narosło dokoła niej w środowisku polskim wiele bałamuctw. Dobrze więc się stało, że prezes Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego dr Tadeusz Bielecki miał sposobność przedstawić to zagadnienie w jasnej formie w trakcie swego przemówienia na zebraniu publicznym zorganizowanym przez Stronnictwo w Birminghamie w dniu 18 lutego.

„Skoro zbliża się wojna — mówił on — nie dziw, że nie brak tych, którzy chcieliby tworzyć czy odtwarzać Polskie Siły Zbrojne. Chodzi o to, czy i w jakich warunkach wolno organizować wojsko? Polacy mają do wojska stosunek uczuciowy. Dumni są słusznie ze swego żołnierza, szczycą się jego odwagą i bohaterstwem. Wolą umierać z podniesioną głową, niż żyć na kolanach.

Gotowość przelewania krwi za swoją ojczyznę jest cenną wartością narodową. Nie utrzyma niepodległości ten naród, który za swój kraj nie umie walczyć i ginąć. Ale trzeba wiedzieć, za co się ginie, w imię czego się walczy, kiedy i jak się występuje zbrojnie. Nie można tworzyć wojska dla wojska, dla dania upustu swemu temperamentowi, czy zamiłowaniu do awanturnictwa, czy dla pustej sławy wodza.

Wojsko nie jest celem samym w sobie, jeno środkiem do celu. Wyrzynanie się wzajemne nie jest celem naszego pobytu na ziemi. Natomiast wojsko jest narzędziem polityki wtedy, kiedy inne środki zawiodą, kiedy byt narodu jest zagrożony i kiedy nie ma innego wyjścia, jeno siła. Niekiedy zaś istnienie wojska służyć może jako atut polityczny. Dodajmy, że nowoczesna armia odbiega daleko od wzorów dawniejszych, że zatem należy budować od nowa zawiązek wojska polskiego na obczyźnie bez oglądania się na przeszłość, lecz wedle wartości i przydatności do sprawowania funkcji w wojnie nowoczesnej.

Nie będziemy mogli wystawić na obczyźnie zbyt wielkich jednostek wojskowych, ale będzie to jeden z ważniejszych, realnych wkładów naszych we wspólną sprawę sprzymierzonych. Stąd nie wolno przemarnować tego atutu. Nie wolno tworzyć armii prywatnych, nie wolno się spieszyć z szafowaniem krwi polskiej dopóty, dopóki nie będzie się wiedziało, w imię czego walczyć będziemy.

Stąd nie wystarczy prowadzenie rozmów tylko między wojskowymi. Rzeczą generała amerykańskiego czy angielskiego jest mieć jak najwięcej bitnego żołnierza. Toteż uchylać się on będzie od dania gwarancji politycznych. Tym się wojsko na Zachodzie nie zajmuje. Trzeba doprowadzić do układu politycznego między reprezentacją polityczną polską a państwami zachodnimi.

Nie wolno budować Polskich Sił Zbrojnych bez kierownictwa politycznego. Nie wystarczy też zapewnianie, że nic się nie zrobi bez zgody legalnych władz Rzeczypospolitej. Władze te nie są uznawane przez mocarstwa zachodnie. Kto tak mówi, musi albo doprowadzić do uznania rządu przez sprzymierzonych, co w obecnych warunkach i przy obecnym składzie rządu jest niemożliwe, albo też odłożyć tworzenie wojska do chwili, kiedy reprezentacja narodu polskiego będzie mogła imieniem Polski określić warunki polityczne, na jakich można będzie wojsko tworzyć.

Słusznie Dmowski rozgraniczył w sposób lapidarny odpowiedzialność żołnierza, dowódcy i polityka: „Żołnierz jest odpowiedzialny za to tylko, czy jest dobrym żołnierzem, za swą odwagę, wierność, obowiązkowość. Dowódca jest odpowiedzialny za to, jak tym żołnierzem kieruje. Polityk jest odpowiedzialny za samo użycie wojska".

Tak jest. Rzeczą dowódcy jest dowodzenie, rzeczą polityka **użycie** wojska.

Jesteśmy zwolennikami wojska, jako instytucji służącej całemu narodowi. Złą usługę oddaje idei wojska ten, kto je wprzęga w polityczne rozgrywki, kto podtrzymuje system rządzenia jednostronny, kto używa imienia wojska dla podtrzymywania jednej grupy politycznej i w ten sposób służy nie zjednoczeniu społeczeństwa, ale rozbijaniu go. Są pewne czynniki wojskowe, które nie oduczyły się złych tradycji i mieszają wojsko do źle pojętej polityki. Trzeba zerwać z robieniem polityki przez wojskowych, a wojska przez polityków. Wychodzi na tym źle i wojsko i polityka.

Jeżeli zaś idzie o chwilę bieżącą, nie wolno powoływać wojska bez szerokiego zaplecza politycznego. Inaczej będzie to wojsko najemne, legia cudzoziemska, a nie zawiązek czy kadra suwerennych Polskich Sił Zbrojnych".

ROLA KRAJU

W tymże przemówieniu prezes Bielecki ujął tak rolę kraju w nadchodzącym konflikcie:

„W dziele odbudowania państwa — obok zmian w świecie, bez których niepodobna będzie wyzwolić Polski — główną rolę odegra kraj, zwłaszcza w końcowych etapach walki.

Od tego, jaka będzie postawa kraju, ile sił potrafi z siebie wydobyć, zależeć będzie nie tylko samo odzyskanie niepodległości, ale i podstawa terytorialna nowego państwa polskiego. Ciężar walki na gruncie międzynarodowym i reprezentacja sprawy polskiej w świecie należeć będzie, w pierwszej zwłaszcza fazie konfliktu, do emigracji, jako wyraziciela kraju, który mówić swobodnie nie może. Zadaniem kraju będzie poprzeć działania reprezentacji polskiej za granicą i zachować siły na ostatnie etapy walki.

Stąd niezmiernie ważny jest opór kraju wobec sowietyzacji i utrzymanie duchowego oblicza Polski. Przedwczesne wystąpienia przeciw Sowietom wyczerpałyby tylko i tak już zmęczony kraj i nie pozwoliłyby rzucić sił narodu polskiego w ostatecznej rozgrywce o niezależną Polskę. Stąd ważne jest, jak daleko zaszła sowietyzacja, czy jest ona zjawiskiem przejściowym, czy też sięgnęła głębiej...

Zdawałoby się temu, kto by sądził powierzchownie, że sowietyzacja jest w pełni przeprowadzona. Tymczasem przepełnione więzienia i głębszy nurt życia narodowego świadczą o tym, że opór trwa; że walka o dusze polskie nie została przez komunizm wygrana, że nawet wojsko, choć tego nie ujawnia — myślę o żołnierzu i młodszym oficerze — myśli po polsku i gotowe jest bić się z Niemcami o granicę na Odrze i Nysie, nie utożsamiając tego z poparciem komunizmu.

Jeżeli chodzi o życie gospodarcze, proces sowietyzacji idzie szybciej. W miastach handel prywatny i rzemiosło znikają. Nie znaczy to, że społeczeństwo staje się komunistyczne. Pozbawione własności tym bardziej nie znosi bolszewizmu. Na wsi chłop broni się przed kolektywizacją.

Walka z Kościołem wzmaga się. Układ z episkopatem, zawarty w zeszłym roku, jest przez komunistów ustawicznie gwałcony. Mimo to Kościół opiera się zdecydowanie bezbożnictwu".

Sprawom kraju poświęcamy znaczną część niniejszego numeru.

KOGO UDERZYLI?

Przeprowadzając tzw. reformę walutową w Polsce, komuniści chcieli przede wszystkim uderzyć „spekulantów i kułaków" odbierając im dwie trzecie oszczędności. W rzeczywistości uderzyli przede wszystkim w robotników. Tzw. spekulant nie trzymał większej gotówki w złotych. Gospodarz wiejski także szukał innych form tezauryzacji. Natomiast robotnik zmuszony do ciągłej pracy w nadgodzinach i w święta, a nie mający najczęściej jak wydać zarobionych w ten sposób pieniędzy miał sporą ilość złotych w domu. Np. w jednej z kopalń, zatrudniającej niewiele ponad tysiąc ludzi zebrano do wymiany 18 milionów złotych. Byli robotnicy, którzy mieli po paręset tysięcy złotych do wymiany. Pozbawienie ciężko zapracowanych oszczędności wywołało wielkie rozgoryczenie, zwłaszcza wśród robotników wykwalifikowanych, najbardziej poszkodowanych przy przymusowej wymianie.

DZIENNIK POLONIJNY O ROZBICIU WEWNĘTRZNYM

Wychodzący w Buffalo „Dziennik dla Wszystkich", jedno z największych pism Polonii amerykańskiej, w numerze z dnia 2 lutego poświęca zasadniczy artykuł wstępny omówieniu wewnętrznego rozbicia emigracji i stanowisku, jakie w tej sprawie zajmują Polacy w Ameryce. Wychodząc z założenia, że znajdujący się pod okupacją sowiecką naród polski ma prawo oczekiwać od Polaków, którzy znajdują się w wolnym świecie, pracy nad odzyskaniem niepodległości, „Dziennik" pisze:

„Obraz rozbicia, jaki emigracja polityczna przedstawia, nie może być źródłem otuchy dla narodu polskiego. Dlatego Polonia amerykańska, której los narodu był, jest i będzie bliski, ma prawo domagać się, aby emigracja polityczna dokonała zjednoczenia i stworzyła jednolity front.

Są wprawdzie tacy, którzy przyjeżdżają do nas po pieniądze, którzy zbierają na Skarb Narodowy, czy inny fundusz, a równocześnie mają tę czelność mówić Polonii, że nie ma ona prawa mieszać się w sprawy wewnętrzne emigracji politycznej", czy też „polskiego obozu niepodległościowego" (jak zwracaliśmy uwagę w swoim czasie, z tezą taką wystąpił „Orzeł Biały" — Przyp. Red.).

Tym panom powiedzieć możemy, że nas ich sprawy wewnętrzne nie obchodzą nic, jeśli o nas chodzi to mogłoby ich nawet nie być. Dla nas jest sprawa narodu polskiego, narodu, z którego się wywodzimy...

Dlatego Polonia amerykańska wezwać musi polską emigrację polityczną i przypomnieć święte jej obowiązki wobec narodu polskiego, jeśli niektórzy z czołowych polityków emigracyjnych nie widzą tych obowiązków.

Rozumiemy — pisze dalej dziennik polonijny — że źródłem zła jest nie tylko skład osobowy polskiego rządu „osobistości" w Londynie, ile raczej ta grupa przedwrześniowych władców polskich, którzy wpływy swoje na obecny rząd wywierają. Oprócz tego zaś przepisy konstytucji z r. 1935 oddają w ręce prezydenta oraz członków jego rządu władzę prawie dyktatorską, z odpowiedzialnością tylko „wobec Boga i historii".

Władza ta została ograniczona w drodze dobrowolnej umowy w r. 1939, kiedy nowy rząd tworzył się we Francji. Obecnie jednak, kiedy przedwrześniowa sanacja powróciła do wpływów w rządzie polskim w Londynie, te ograniczenia odrzucone zostały.

Gdyby właśnie ci ludzie, którzy zresztą tyle mówią o zjednoczeniu i niepodległościowości, swoje słowa praktykowali w czynach, wtenczas zrozumielibyśmy niewątpliwie, że to właśnie oni są największą przeszkodą na drodze do zjednoczenia, a przez to do zjednoczonej akcji na rzecz niepodległości Polski.

Toteż — kończy „Dziennik dla Wszystkich" — za słuszne należy uznać postulaty wysuwane przez Radę Polityczną, która domaga się zdemokratyzowania podstaw prawnych, na których opiera się rząd polski w Londynie, a następnie rozszerzenia przedstawicielstwa polskiego na wszystkie ugrupowania znajdujące się na emigracji politycznej. W podobnym duchu poszły też uchwały Rady Naczelnej Kongresu Polonii Amerykańskiej w czasie niedawnego zjazdu w Waszyngtonie".

CZYNNIK NADRZĘDNY I PIECZĄTKA

W „Orle Białym" ukazał się artykuł p. Pawła Zaremby pt. „Idea wojska wśród Polaków", który stanowi niejako ekstrakt odgrzewanej ideologii „legionowej". Autor wychodzi z założenia, że na pojęcie państwa składają się nie trzy przyjęte w nauce czynniki, tj. terytorium, ludność i władza, lecz także i czwarty czynnik, widocznie w pojęciu piszącego od władzy państwowej niezależny ani części ludności nie stanowiący, a mianowicie wojsko. Ba, wojsko jest nie tylko jednym z czterech czynników, tworzących państwo. „Ostatnich lat 200 naszej historii sprawia, że wojsko wysuwa się nawet w kolejności przed „terytorium", nad którym jakże często nie sprawujemy władzy, a także często przed „rząd" — ową legendarną „pieczątkę z orłem i pogonią"." To już nie ideologia a wręcz program polityczny: aby rząd był pieczątką z orłem w ręku wojska.

Ale wnet powracamy do czystej ideologii i dowiadujemy się, że: „Dziś mało już kto poważnie może krytykować „polski romantyzm", skoro naocznie wszystkie bez wyjątku kraje świata przekonały się, że właśnie „trzeźwa polityka ugodowców" prowadzi do klęsk największych...". To już jest chwyt przesadnie uproszczony. Polityka ugodowców prowadzi często do klęsk największych dlatego właśnie, że nie jest trzeźwa. W niczym nie zmienia to faktu szkodliwości romantyzmu, który w wyniku prowadzi do takich błędów jak powstanie warszawskie.

Ale p. Zaremba uważa powstania za rzecz najmądrzejszą. „Gdyby nie powstania... w roku 1918 nie byłoby już narodu, który zdolny by był wzniecić w sobie twórczą wolę odtwarzania swojego państwa." Dlaczego? Ten frazes wbijany w głowę Polakom przez sanację jest tylko frazesem, którego nawet nie usiłowano udowodnić.

Ale frazes o powstaniach jest tylko odskocznią do następnej tezy, a mianowicie, że początek niepodległego bytu Polski „w rzeczywistości nastą-

pił w dniu wymarszu kadrówki". Zdawałoby się, że ten romantyczny idiotyzm zmarł śmiercią naturalną w r. 1939 i że nawet najprzeciętniejszy człowiek po dwunastu latach obserwacji świata nie może wierzyć, że niepodległość Polski w okresie pierwszej wojny światowej wywalczyło parę batalionów legionistów. Czy to brzmi przyjemnie czy nie, Polska została odbudowana dzięki umiejętnemu wykorzystaniu koniunktury międzynarodowej przez politykę polską, starannie przygotowaną i mądrze przeprowadzoną. Wojsko polskie obroniło tę niepodległość w r. 1920, ale to już jest inna historia.

Wojsko dla autora artykułu w „Orle Białym" jest nie tylko naczelnym czynnikiem państwowym, ale także ideałem ustrojowym. Społeczeństwo polskie — jego zdaniem — nie jest militarne, ale jest wojskowe. Na czym różnica polega, Bóg raczy wiedzieć. „Jeśli gdzie szukać — pisze on — tradycji naszej rodzimej demokracji, to właśnie w psychicznej strukturze wojska polskiego." Dlatego też, jak powiada p. Zaremba, który widocznie nie pamięta czasów sprzed roku 1939, „nie staliśmy się też narodem militarystycznym na wzór pruski, gdzie całe życie w wojnie i w pokoju podporządkowano potrzebom i kaprysom wojska, uważanego za nadrzędną, lepszą i kastowo odrębną grupę społeczną".

Wojsko jest czynnikiem niezbędnym w życiu państwa. Powinno ono być otoczone miłością i szacunkiem społeczeństwa. Ale jest to możliwe tylko wtedy, gdy wojsko jest wojskiem, tzn. narzędziem polityki narodowej, albo — jak to wyraził Clausewitz — „polityka jest mózgiem, wojsko pięścią". Gdy ktoś chce wykorzystać tę pięść do kierowania mózgiem, niszczy i pięść i mózg, politykę i wojsko zamienia w soldateskę i politykierstwo.

NA STARĄ MELODIĘ

Rewizjonizm niemiecki w stosunku do Polski do drugiej wojnie światowej przybierać zaczyna ton a nawet słownictwo rewizjonizmu z okresu po pierwszej wojnie światowej. Niepomni na to, że ściągnęli nie tylko na Europę ale i na swój naród dwie klęski i katastrofę, że niezdolni są ani osiągnąć zjednoczenia ani nawet wziąć skutecznego udziału w obronie ziem niemieckich przed nowym zniszczeniem i nowym najazdem, Niemcy, jeszcze niczym nie dysponując, z uporem maniaka już powracają do starej śpiewki.

Oto pisze „Deutsche Tagespost": „My, jako Niemcy, musimy czuwać nad tym, by ta krwawiąca granica nie poszła w zapomnienie. Aby nie powiedziano, że Niemcy dobrowolnie zrezygnowali ze wschodu swej ojczyzny".

„Krwawiąca granica" na Odrze i Nysie? Niekoniecznie. Nie tylko. Bo w „Die Tat" były ambasador w Moskwie, Rudolf Nadolny na ten sam temat tak pisze: „Ta sprawa nigdy nie uspokoi się. Trzeba więc na nowo przeciągnąć polską granicę zachodnią: nie chcemy już mieć korytarza, który był owocem Wersalu".

BŁĘDY PSYCHOLOGICZNE

W r. 1945 alianci wykazali niezrozumienie psychologii niemieckiej. Zamiast, korzystając z zupełnej uległości Niemców w owej chwili, dać im rozkaz, jak mają się urządzić, rozpoczęto naiwne kroki w kierunku „reedukacji", polegającej na tłumaczeniu Niemcom, co to jest demokracja — jakby oni sami o tym dobrze nie wiedzieli. Zamiast ściśle określić ograniczoną liczebnie kategorię przestępców politycznych i wojennych i ukarać ich bardzo surowo, rozciągnięto odpowiedzialność, bardzo rozwodnioną, na szerokie rzesze członków partii hitlerowskiej, a nawet luźniejszych współpracowników. Stworzono w ten sposób ciągnący się w nieskończoność problem „denazyfikacji", zatarto granice odpowiedzialności i stworzono masę pozbawioną formalnych praw politycznych, a przez to wywierającą tym większy nacisk na resztę opinii.

Dziś alianci pragnęliby pokorne Niemcy przemienić w wojskowego sojusznika. Zabierają się do tego równie niezgrabnie i popełniają te same błędy psychologiczne. Deklaracje zwracające honor armii niemieckiej lub tłumaczenia o potrzebie obrony wspólnoty europejskiej chybiają zupełnie celu. Niemców można pozyskać tylko budząc w nich szacunek, a szacunek budzi u nich przede wszystkim siła. Argumentem za remilitaryzacją Niemiec mogłoby być tylko zwiększenie sił sojuszniczych w Niemczech i stawianie rządowi w Bonn kategorycznych żądań.

Życie polityczne zachodnich Niemiec przejawia się obecnie w do niczego nie prowadzącej bezustannej gadaninie. Niemcy rozumieją przywództwo jako rozkazodawstwo. bolszewicy to wykorzystują i we wschodnich Niemczech narzucili władzę może znienawidzoną, ale słuchaną. Tam nie ma dyskusji czy bić się pod rozkazami sowieckimi czy nie. W Niemczech zachodnich dyskusje prowadzą do wniosku, że z dwojga złego lepsza niewola sowiecka niż nowe wyniszczenia i klęski.

EUROPA CZEKA W NIEPEWNOŚCI

Decyzja wysłania do Europy czterech dywizji amerykańskich zapadła w ogniu polemik prasowych i burzliwych dyskusji w Kongresie. Przeciwnicy tej decyzji (Hoover, Taft) dowodzili, nie bez słuszności, że dodatkowe dywizje amerykańskie nie wzmocnią w warunkach obecnych obronności Europy zachodniej i że w razie zaatakowania jej przez wojska sowieckie padną pierwsze ofiarą ataku. Ameryka powinna, zdaniem opozycjonistów, budować swą koncepcję obrony Europy nie na przeciwstawianiu masom piechoty sowieckiej swych nielicznych sił lądowych, lecz na przewadze swych sił lotniczych i morskich; dopiero, gdy państwa zachodnio-europejskie zdobędą się na wystawienie poważnych armii lądowych, wojska amerykańskie będą mogły, w pewnej proporcji, armie te uzupełnić. Taft proponował ustalenie tej proporcji na jedną dywizję amerykańską w stosunku do dziewięciu europejskich.

Przeciwnicy tego poglądu, reprezentowanego przez część republikanów, dowodzili, że wojska amerykańskie w Europie są potrzebne dla przełamania apatii wśród ludności starego kontynentu i podniesienia jej ducha oporu. Rosja nie jest jeszcze zdecydowana na wojnę; wojska amerykańskie nad Łabą będą dla niej ostrzeżeniem, że Europy bez walki nie zdobędzie, dla Europejczyków zaś — gwarancją, że Ameryka ich nie opuści w potrzebie. Dywizje amerykańskie mają więc uprzytomnić Rosji ryzyko agresji, Europie zaś dać dowód stałości polityki amerykańskiej i jej gotowości do ofiar. Decyzja prez. Trumana ma niewielkie znaczenie wojskowe, lecz jej skutki psychologiczne mogą być o wiele większe.

Tezie, że Europie zachodniej nie grozi wojna w najbliższej przyszłości, przeczą informacje wywiadu amerykańskiego, którego zdaniem atak satelitów sowieckich na Jugosławię jest jakoby z wiosną nieunikniony.

Konieczność zlikwidowania schizmy belgradzkiej staje się dla Rosji istotnie coraz bardziej paląca. Schizma ta jest zaraźliwa, a jej wpływ rozkładowy na partie komunistyczne dał się ostatnio odczuć w Czechosłowacji, a zwłaszcza we Włoszech. Siły zbrojne Bułgarii, Węgier i Rumunii zostały zdwojone w stosunku do norm, ustalonych w traktatach pokojowych i wynoszą obecnie 650.000 ludzi, więcej niż siły zbrojne Jugosławii. Zostały one nadto zaopatrzone w najnowszą broń sowiecką, a ich korpusy oficerskie oczyszczono z elementów niepewnych. Pokusa może stać się tym większa, że mocarstwa zachodnie nie wypowiedziały się dotąd wyraźnie, jak się zachowają w razie zaatakowania Jugosławii przez satelitów sowieckich. P. Acheson oświadczył tylko, że każda nowa agresja „nadwyrężyłaby gmach pokoju" (would strain the fabric of peace), p. Attlee nie dał zaś wyraźnej odpowiedzi na zapytanie p. Edena w tej sprawie w Izbie Gmin. Najazd satelitów sowieckich na Jugosławię, zwłaszcza bez widomego udziału Moskwy, postawiłby mocarstwa zachodnie w dość drażliwej sytuacji. Stanęłyby one wobec alternatywy biernego przypatrywania się zagrożeniu Grecji, Turcji i Środkowego Wschodu lub rzucenia swych sił do obrony państwa, wyznającego bądź co bądź wrogą im ideologię. Wprawdzie p. Acheson stara się już od dawna przeprowadzić rozróżnienie między komunizmem ro-

dzimym (native communism) a imperializmem sowieckim, lecz wojna w obronie Belgradu nie wywołałaby zapewne entuzjazmu w Stanach Zjednoczonych. Umierać za Titę?

Poprzestaje się więc na demonstracjach, mających odstraszyć Moskwę od agresji, jak manewry floty amerykańskiej na Morzu Śródziemnym i wizyty w Belgradzie amerykańskich mężów stanu. Przeciwko jednak przewidywaniom wywiadu amerykańskiego przemawia postawa samego Tity: oświadczył on w przemówieniu radiowym, że nie zamierza zwracać się do Zachodu o dostawy broni, dopóki atak na Jugosławię nie stanie się nieuchronny. Najazd na Jugosławię wywołałby, jego zdaniem, wojnę ogólną, a przez to nie jest w bliskiej przyszłości prawdopodobny.

Prawdopodobniejszy natomiast, zdaniem Tity, jest atak sowiecki na Niemcy zachodnie. Obawy takiego ataku istnieją w kołach politycznych Zachodu i wiązane są ze sprawą zamierzonego uzbrojenia Niemiec. Jest to jedna z przyczyn, dla których dyskusja nad tworzeniem armii niemieckiej przycichła. P. Attlee oświadczył w Izbie Gmin, że rozbudowa sił obronnych Zachodu powinna poprzedzić uzbrojenie Niemiec (the building up of the forces of the democratic states should precede the creation of German forces). Do zwłoki w wykonaniu decyzji brukselskich przyczyniła się niewątpliwie niechętna postawa samych Niemców, żądanie przez nich pełnej suwerenności i wreszcie niemożność uzyskania konkretnych wyników przed upływem 2 — 3 lat. Lecz powodem może najważniejszym są nieokreślone nadzieje, wiązane z projektowaną konferencją czterech ministrów spraw zagranicznych. Nie sądzi się wprawdzie, aby konferencja ta mogła przynieść załatwienie problemu niemieckiego, bo ani Zachód nie wyrzeknie się włączenia Niemiec do swego systemu politycznego, ani Rosja nie zrezygnuje z nadziei ich komunizacji; przypuszcza się jednak, że może Rosji, tak samo jak mocarstwom zachodnim, chodzi o zwolnienie tempa rozwoju wydarzeń, o zyskanie na czasie. Czas ten pozwoli Zachodowi na zorganizowanie armii Eisenhowera, Moskwie zaś na uzupełnienie swego zapasu bomb atomowych. Z tego punktu widzenia jakieś tymczasowe modus vivendi w polityce niemieckiej obu stron może się stać możliwe.

Wywiad Stalina w „Prawdzie" i ostra odpowiedź brytyjska na ten wywiad nie są jednak zachęcającym wstępem do narad przy wspólnym stole.

L. K.

W AZJI ODWRÓCIŁA SIĘ KARTA

Rozwojowi sytuacji wojskowej na Korei towarzyszą na Zachodzie na przemian przypływy optymizmu i pesymizmu. W końcu r. ub., po załamaniu się ofensywy gen. MacArthura, liczono się poważnie z opuszczeniem półwyspu przez wojska Narodów Zjednoczonych. W lutym r. b. gen. Ridgway oświadczył, że wojska amerykańskie zostaną na Korei tak długo, jak zechcą. Zaczęto nawet mówić o ponownym przekroczeniu 38 równoleżnika, przy czym zarysowała się od razu różnica zdań między rządami brytyjskim i amerykańskim. P. Attlee stwierdził w Izbie Gmin, że problem 38 równoleżnika jest problemem politycznym i wymaga porozumienia z wszystkimi państwami, biorącymi udział w kampanii; prez. Truman uznał zagadnienie to za czysto wojskowe.

Sprawa 38 równoleżnika jest niewątpliwie zagadnieniem politycznym w tym sensie, że bez jego rozwiązania niemożliwe jest osiągnięcie celów politycznych kampanii koreańskiej. Mocarstwa zachodnie sądzą jednak, że potrafią osiągnąć te cele, przynajmniej częściowo, drogą negocjacji. Sądzi się, że wojna na Korei okazała się przedsięwzięciem dla Chin nader kosztownym i nieopłacalnym; wojska chińskie dziesiątkują mrozy i choroby zakaźne, a każda ofensywa chińska musiałaby się przedzierać przez żelazną ścianę ognia z lądu, morza i powietrza, narażając Chińczyków na potworne straty. Czas, według tego poglądu, pracuje w wojnie koreańskiej na korzyść Narodów Zjednoczonych. Chiny, nie mając floty ani lotnictwa, nie będą mogły długo wytrzymać tej wojny na wyniszczenie przeciwnika i prędzej czy później okażą się skłonne do rozmów pokojowych.

Zadaniem wojsk Narodów Zjednoczonych stało się nie opanowanie Korei, lecz utrzymanie pewnej linii obronnej przy zadawaniu nieprzyjacielowi jak największych strat. Sukcesy walk mierzy się nie zdobywaniem terenu, lecz ilością zabitych Chińczyków. Zapomina się, że życie ludzkie znaczy na wschodzie niewiele, rezerwy zaś ludzkie są niewyczerpane.

Z tym wszystkim kampania koreańska weszła w fazę wyczekiwania i pewnego bezwładu. Wielka Brytania jest zadowolona z tego stanu rzeczy, ponieważ, dopóki wojna na Korei wiąże siły chińskie, Hongkong, Indochiny i Malaje są względnie bezpieczne. Rząd brytyjski przeciwny jest tylko stosowaniu jakichkolwiek dalszych represji wobec Chin, np. sankcji gospodarczych, mogących sytuację zaognić i bieg wypadków przyspieszyć. Stanom Zjednoczonym również odpowiada ta sytuacja, ponieważ odsuwa widmo kapitulacji i otwiera perspektywę ograniczonego zwycięstwa lub przynajmniej honorowego kompromisu.

Jest jednak bardzo niepewne, czy rozwój wydarzeń odpowie przewidywaniom polityków. Chiny walczą na swoim terenie, w oparciu o zaplecze milionowych mas ludzkich i przy współudziale swego potężnego sąsiada. Amerykanie przyjęli walkę na terenie strategicznie jak najbardziej dla siebie niedogodnym, w odległości tysięcy mil od swych baz podstawowych i rzucili do tej walki niemal całość swych rozporządzalnych sił. Wygranie przez nich w tych warunkach wojny, choćby połowiczne, byłoby katastrofa dla prestiżu chińsko-sowieckiego w Azji. Rosja i Chiny będą zapewne gotowe postawić wiele na jedną kartę, aby do tego nie dopuścić. Stalin z dużą pewnością siebie oświadczył w swym wywiadzie, że jeżeli Wielka Brytania i Stany Zjednoczone odrzucą ostatecznie propozycje chińskie, może się to skończyć jedynie ich klęską. Można się w tym oświadczeniu dopatrywać zapowiedzi czynniejszej interwencji ze strony sowieckiej. Stany Zjednoczone są jednak obecnie mniej skłonne do przyjmowania warunków kapitulacji, niż kiedykolwiekbądź w toku kampanii. Nie wydaje się, aby koniec wojny na Korei był bliski. Qui vivra, verra.

W polityce azjatyckiej mocarstw zachodnich przeważa dojutrkowanie. Lecz kancelarie dyplomatyczne mają coraz mniejszy głos w kształtowaniu wydarzeń.

L. K.

ROZMOWA Z PRZYBYSZEM Z KRAJU

Nie często się w ostatnich czasach zdarza, by można było obszerniej porozmawiać na temat stosunków krajowych z Polakiem przybywającym wprost z Polski, a posiadającym dostateczne przygotowanie i stanowisko umożliwiające zapoznanie się z wydarzeniami w skali ogólnej. Taka właśnie okazja nadarzyła się redaktorowi naszego pisma i wynikiem jej jest poniższe sprawozdanie z rozmowy.

— Czy miał Pan już czas na zorientowanie się w tym, co pisze prasa emigracyjna i co mówią Polacy tutejsi na tematy krajowe?

— Tak, czytałem sporo i z niejednym rozmawiałem.

— Czy obraz kraju w prasie i w pojęciu Polaków na emigracji jest na ogół zgodny z rzeczywistością?

— Tak. Nie wyobrażałem sobie w kraju, że jednak tyle wiecie o naszym życiu i że jego obraz jest w waszych oczach na tyle ścisły.

— Co wobec tego uważa Pan za najważniejsze do powiedzenia z tych spraw, o których my tu wiemy, lub w których za mało się orientujemy.

— Zdaje mi się, że jeszcze nie doceniacie do tej chwili zmian, jakie zaszły w życiu społeczeństwa i w strukturze społecznej dosłownie w ciągu ostatniego roku. Myślę przede wszystkim o wsi.

— Kolektywizacja rolnictwa?

— Nie. To znaczy kolektywizacja, czyli tzw. uspółdzielczanie wsi ma z tym, o czym chcę mówić pewien związek, do pewnego stopnia stanowi nawet tego przyczynę, ale mam na myśli inne zjawisko, a mianowicie ucieczkę ze wsi do miast. Podkład do tego zjawiska stanowi zmiana struktury gospodarczej kraju spowodowana w znacznej mierze przyłączeniem ziem zachodnich. Polska z kraju przeważnie rolniczego staje się krajem przemysłowo-rolniczym. Uprzemysłowienie postępuje naprzód, kosztem zresztą niesłychanego wyzysku pracy ludzkiej. Obok uprzemysłowienia drugą przyczyną powodującą potrzebę nowych ludzi w miastach jest wymordowanie w czasie wojny przez Niemców ogromnej większości Żydów polskich. Kolektywizacja, a raczej już sama zapowiedź kolektywizacji jest bodźcem dodatkowym. Rozmawiałem z wieloma młodymi chłopami, którzy świeżo przenieśli się do miast, a także z takimi, którzy zamierzali opuścić rodzinną wieś. Wszyscy mówili to samo: nie chcą pozostać na roli, gdzie lada chwila mogą być zapędzeni do pracy w spółdzielni. W mieście, powiadają, pracować będą zasadniczo 8 godzin dziennie, w spółdzielni grozi im praca od świtu do nocy. Przy tym miasto dostarcza możliwości rozmaitych rozrywek i daje szanse wybicia się, czyli tzw. awansu społecznego. Wielu z nich dodawało, że gdyby „wszystko się zmieniło" i na wsi powróciła prywatna własność gospodarstw, to chcieliby wrócić do domu. Wśród najmłodszych z tych wiejskich emigrantów dochodzi jeszcze chęć wydobycia się spod władzy ojcowskiej, która na wsi w dalszym ciągu jest tradycyjnie silna.

— A czy kolektywizacja styka się na wsi z bardzo silnym oporem?

— Oczywiście, że tak. Jednakże nie należy mieć złudzeń, że opór ten nie będzie przełamany. Chłop polski zbyt wiele wie o świecie i zbyt jest rozsądny, by poszedł na jakieś rozpaczliwe przejawy oporu. Będzie się on opierał tylko do granic zdrowego rozsądku.

— Czy największy opór wykazują więksi gospodarze?

— Niekoniecznie. Rzecz ciekawa, że z najgwałtowniejszym oporem spotyka się kolektywizacja w centralnej Polsce u tych, którzy otrzymali ziemię z parcelacji w r. 1945. Byli oni do wojny robotnikami folwarcznymi lub bezrolnymi i otrzymali działki z miejscowych folwarków. Przez pierwsze lata harowali niesłychanie ciężko w niezwykle prymitywnych warunkach i właśnie teraz dopiero jako tako się zagospodarowali. Spółdzielnia rolna przedstawia im się jako powrót do pracy na folwarku i wywołuje wstręt i bunt.

— Więc emigracja młodszego elementu wiejskiego do miast jest, Pańskim zdaniem, najważniejszą przemianą społeczną ostatniego roku?

— Nie umiem powiedzieć czy najważniejszą. Jest i druga ważna przemiana. W roku ubiegłym dokonano na wielką skalę likwidacji reszty prywatnego przemysłu i handlu, a także wolnych zawodów. Ogromna ilość ludzi, którzy jeszcze przed dwoma laty żyli z tzw. inicjatywy prywatnej przeszła w tej chwili na pracę w sektorze państwowym lub uspołecznionym. Jeżeli chodzi o handel, to wielka zmiana jest zupełnie świeżej daty. Widzi Pan, rząd nie pozwalał przedsiębiorcom likwidować ich warsztatów pracy, które stały się nieopłacalne wskutek arbitralnego i świadomie niszczącego nakładania podatków a zwłaszcza tzw. domiarów podatkowych. Człowiek musiał dokładać z oszczędności do swojego warsztatu czy sklepu, a nie mógł go zamknąć. Z nowym rokiem nadszedł czas na wykupywanie nowych świadectw przemysłowych. Bardzo poważna część przedsiębiorców uznała to za szczęśliwą okazję do zrezygnowania z inicjatywy prywatnej i patentów nie odnowiła.

— A wolne zawody?

— Wolnych zawodów właściwie już nie ma. Nie ma zakazu np. prywatnej praktyki lekarskiej, lecz tak dalece się ona nie opłaca, że lekarze przechodzą na pracę przy jakiejś instytucji i odmawiają przychodzenia na prywatne wezwanie nawet swoim dawnym pacjentom. Po ostatnich reformach sądownictwa skończyła się w praktyce także i adwokatura. Kto nie jest radcą prawnym jakiejś instytucji lub związku, ten może się połączyć w spółdzielnię z innymi adwokatami. Tak samo przedsiębiorcy budowlani działają już tylko jako udziałowcy spółdzielni złożonej z murarzy, blacharzy, stolarzy, architektów etc., albo jako pracownicy publiczni. Nie ma już np. rzeźników, są tylko centrale mięsne, prawie nie ma kupców detalicznych, zastępują ich sklepy miejskiego handlu detalicznego wzorowane na „Gortorgach". Rzecz ciekawa, że likwidacja prywatnego handlu rozpoczęła się od wsi i małych miast, a najwolniej postępuje w Warszawie.

— Jak ludzie przyjmują te reformy?

— Cóż, przyjmują je, bo muszą. Ludzie są przy tym przepracowani i zmęczeni. Tu na Zachodzie nie macie pojęcia o tempie pracy, w jakim się wszystko odbywa w kraju. Pracuje się cały dzień, pracuje się w niedzielę, pracuje się w nadgodzinach, bierze się prace uboczne, pracuje się dla wykonania planu, dla uczczenia jakichś uroczystości, dla wykonania zobowiązania. W wolnych chwilach trzeba wziąć dobrowolnie udział w odgruzowaniu miast, w pracach rolnych. Dochodzą ciągle akademie, pochody, zebrania i kursy, kursy, kursy.

— Czy są przejawy sabotażu?

— Nie. Oczywiście jest niechęć do pracy i wykonywanie jej źle tam, gdzie można to zrobić bez ryzyka. Nie ma natomiast mowy o takim sabotażu, jaki odbywał się za okupacji niemieckiej. Sabotaż zresztą nie miałby sensu. Pociągałby za sobą wielkie represje i byłby z tego powodu przez całe społeczeństwo źle widziany. Poza tym ludzie zdają sobie sprawę z tego, że trzeba dostarczyć towaru społeczeństwu. Jest wyraźna różnica w sposobie, w jaki pracują robotnicy przy produkcji towarów na rynek krajowy, a przy produkcji towarów, o których wiadomo, że idą do Sowietów. Te ostatnie produkowane są wyraźnie gorzej i wolniej.

— Czy istnieje wielka niechęć do Moskali?

— Raczej tak. Kontakty są właściwie bardzo słabe. Rosjanie mieszkają osobno i nie wolno im się z Polakami zanadto zadawać. Panuje przekonanie, że każdy z nich z osobna jest zupełnie przyjemny, ale już dwóch razem jest zjawiskiem obrzydliwym i wrogim. Stosunki układają się zabawnie pod niektórymi względami. Na

przykład Rosjanie do Polaków mówią per pan, a Polacy, zwłaszcza ludzie prości, do Rosjan zawsze per ty.

— Czy jest dużo Rosjan?
— Rosjan oficjalnych jest bardzo mało, z wyjątkiem pewnej ilości wojska na ziemiach zachodnich. Natomiast wśród oficerów w mundurach polskich znaczna część jest Rosjanami. Zjawiskiem normalnym jest rozmowa po rosyjsku między oficerami wojska polskiego. Oficerowie sztabowi i od dowódcy batalionu wzwyż są przeważnie Rosjanami.

— A żołnierz?
— Żołnierz prezentuje się doskonale. Jest porządnie ubrany i dobrze wyćwiczony, stosunki między szeregowymi i oficerami poza służbą są koleżeńskie i pozornie przynajmniej bardzo życzliwe. Jeżeli w produkcji panuje bałagan, plany gospodarcze są niewykonywane, wiele działów państwowych, zwłaszcza w dziedzinie handlu, pracuje okropnie, o tyle wojsko jest tym działem, który się udał. Robi wrażenie, że jest to wojsko dobre. Współzawodnictwo między żołnierzami i między oddziałami przynosi znacznie lepsze rezultaty niż współzawodnictwo w produkcji.

— Czy sądzi Pan, że w wojsku urobią młode pokolenie na wzór komunistyczny?
— Nie, nie sądzę. Chłopak, który wychodzi z wojska wraca w swoje środowisko i cała „politgramota“ spływa po nim bez bardziej trwałego śladu. Niebezpieczeństwo sowietyzacji nie idzie przez wojsko, ale przez szkołę, a zwłaszcza przedszkole. Niebezpieczeństwo to grozi temu pokoleniu, które urodziło się podczas wojny i po niej.

— A wśród starszych czy komunizm robi postępy?
— Raczej zewnętrznie i powierzchownie. Nawet wśród aktywu partyjnego część tylko jest z prawdziwych komunistów. Ogromna większość członków PZPR a nawet znaczna część służby bezpieczeństwa w razie klęski komunizmu odżegnałaby się od niego szybko i radośnie.

— I dokąd by poszła?
— Prawdopodobnie szukałaby jakiejś formy przejściowej. Wydaje mi się, że istnieją tu dwie równie prawdopodobne możliwości: albo odtworzenie partii socjalistycznej albo stworzenie jakiegoś ruchu narodowych komunistów.

— A na wsi?
— Na wsi komuniści są jeszcze znaczniej słabsi niż w miastach. Część chłopów zwłaszcza starszych czuje się ludowcami i w razie klęski komunizmu ruch ludowy niewątpliwie odrodziłby się.

— Czy sądzi Pan, że pod wodzą Mikołajczyka?
— To raczej wątpliwe. Mikołajczyk przestał być popularny. Nie dlatego, że uciekł. Chłopi nie mają pretensji, że ktoś się ratował. Mają natomiast pretensję, że tylu ludzi ponarażał.

— Jakie więc kierunki istnieją wśród opinii?
— Nie ma w kraju miejsca na wiele kierunków ideowych. Różne przedwojenne mniejsze ruchy i stronnictwa zaginęły bez śladu. Sanacji nie ma i nikomu nie przychodzi do głowy, by mogła się na nowo pojawić. Sporo starszych ludzi zachowało osobisty kult pamięci Piłsudskiego, ale to już nie jest żaden kierunek polityczny. Można mówić tylko o trzech kierunkach poza komunistami, to jest o narodowcach, socjalistach i ludowcach. Najwyżej „notowany“ jest obecnie kierunek narodowy. Ludzie, którzy z nim nie mieli nic wspólnego, teraz coraz częściej powtarzają, że „endecy jedni mieli rację“, mieli rację — mówią — z żydokomuną, z dopatrywaniem się niebezpieczeństwa bolszewickiego, z przeciwstawianiem się zamachowi majowemu, z wysunięciem w czasie wojny żądania granicy na Odrze, ze swoją antyniemieckością, z niepójściem na żadne kompromisy w r. 1945. Spotykałem się i z takim zdaniem, że tylko ci księża, którzy „przeszli przez szkołę endecką“, zachowują się w tej chwili tak jak powinni. Przy tym, jak mi się zdaje, w żadnym ruchu politycznym polskim nie było tak rozwiniętej wierności dla organizacji jak u narodowców. Zrozumiałe także jest, że dla większości społeczeństwa najsympatyczniejsze jest to, co jest najbardziej odległe od komunizmu i najbardziej mu przeciwne.

— A co mówią w kraju o emigracji?
— Przeciętny człowiek z pewną zazdrością myśli o was, że kładziecie się wieczorem spać bez obawy i możecie pracować ile chcecie. Wie on, choćby z prasy reżimowej, że na emigracji działają partie polityczne i jest jakiś rząd. Nie wie, jaki jest stosunek państw zachodnich do tego rządu, czy uważają go za coś w rodzaju komitetu narodowego, czy go ktokolwiek uznaje. Wśród ludzi myślących politycznie spotykałem się ostatnio nieraz ze zdaniem, że „niedobitki sanacji bawią się w rządzenie jak dzieci“, to już musiało być echo jakichś niedawnych informacji. W oczach przeciętnego człowieka emigracja jest pewną całością, której obowiązkiem jest w razie nowej wojny spowodować przywrócenie Polsce niepodległości przez Zachód i obronić granicę zachodnią. Ze wzruszeniem i entuzjazmem powita on każdego, kto będzie niósł wolność, ale myliłby się srodze ten, kto by sądził, że entuzjazm taki jest skierowany do jakiejkolwiek osoby. Przypuszczenie, że w wyzwolonej Polsce mogłaby objąć rządy jakakolwiek klika, wojskowa czy cywilna, przybyła z emigracji, wydałoby się człowiekowi w kraju po prostu śmieszne.

— Czy kraj jest bardzo wycieńczony?
— Wycieńczony Ludzie są przemęczeni. Ale na przykład przyrost naturalny jest niewątpliwie wysoki. Komuniści nie dopuszczają do żadnej propagandy „świadomego macierzyństwa“. Przeciwnie wprowadzili znaczne dodatki rodzinne, trzymiesięczne urlopy macierzyńskie, dużo żłobków przy zakładach pracy, są surowe kary za spędzanie płodu, zarówno dla lekarzy jak i pacjentek, nie ma środków antykoncepcyjnych. Na wsi nie ma już takiego nadmiaru ludzi jak był przed wojną. Wszystko to sprzyja przyrostowi ludności.

— A wyżywienie?
— Od przyjazdu tutaj do was ciągle chodzę głodny. My tam wyrzekamy na te nasze stołówki fabryczne, ale, słowo daję, lepszy obiad w stołówce u nas niż tu w restauracji za pięć szylingów.

Na tej niefrasobliwej nocie kończymy naszą zasadniczą rozmowę i schodzimy na tematy osobiste.

WIKTOR TROŚCIANKO

REALIZM PODBOJU

WIELE mieszanych skojarzeń nasuwa się człowiekowi, gdy weźmie do ręki jakąś publikację krajową — książkę lub czasopismo. Słowo drukowane bowiem nie jest tylko konwencjonalnym znakiem, jest wycinkiem życia, fotografią osób, śladem ludzkiego charakteru, myśli i pracy. Dla nas — na emigracji — książka z kraju, gazeta czy broszura — jest czymś więcej, niżby to wynikało z jej treści. Widzimy poprzez czarne szeregi liter dalej, szerzej i wyraźniej, niż się czasem widzi z bliskiej perspektywy. Gdy, po przezwyciężeniu wstrętu do makulatury propagandowej obecnych okupantów Polski, zaczniemy czytać wypowiedzi obecnie rządzącej tam klasy, stają nieraz przed oczami dobrze znane postaci, ożywia się przeszłość i wiadomo już, że jesteśmy w dalszym ciągu wielkiego cyklu przeobrażeń świata — tego cyklu, który towarzyszył naszemu pokoleniu od kolebki. Nienawiść i pogarda agentów sowieckich w Polsce dla „zbankrutowanej emigracji“ o tyle jest nie na miejscu, nawet w ich skali pojęć, że jesteśmy najbardziej uważnymi czytelnikami tych ton zadrukowanego papieru, które pod różnymi nazwami wydaje aparat administracyjny reżimu. A do tego nikt

nas nie zmusza czytać. Nikt nam nie każe na „prasówkach“ zdawać relacji z tego co powiedział Zambrowski, Ochab, czy Putrament. To nasz czysty pęd do wiedzy, bezgrzeszna chęć poznania najniższych pokładów głupoty, cynizmu i zakłamania. Bo to jest, niestety, ów „socjalistyczny realizm“, w jakim ma żyć nasz naród, to jest ów przemocą i terrorem narzucany styl życia i kształt przyszłego pokolenia — jeżeli bieg wypadków nie zmiecie w czas całej ponurej groteski zwanej na razie ludową demokracją.

* * *

Nie mam wszakże zamiaru kreślenia monografii całego aparatu agentury sowieckiej w Polsce. Na artykuł to temat zbyt szeroki.

Mam przed sobą jeden wycinek, z jedną postacią naczelną: literaturę polską za komunistycznymi kratkami, i jednego z głównych dozorców tego więzienia myśli, znanego mi osobiście i nie od dziś, wiecznie rozchełstanego Jerzego Putramenta.

I tak, gdy mam w ręku jego życiowe chef d'oeuvre, powieść pt. „Rzeczywistość“, lub ostatni referat pt. „Zadania literatury polskiej“, wygłoszony na plenum zarządu głównego reżimowych literatów — poprzez słowo drukowane widzę doskonale tę postać, która pozostała wierna dwóm przewodnim gwiazdom swego żywota: obcej służbie przeciw Polsce i czystej, wysublimowanej głupocie.

Między tymi dwiema konstelacjami układa się życiowa rzeczywistość Putramenta. Gdyby nie przypadkowy cykl wstrząsów naszej epoki, gdyby nie to, że jego czyny żłobią na społecznym organizmie Polski bolesne rany, zostawilibyśmy samą postać jakiemuś następcy Gombrowicza. Niestety, uważne śledzenie losów, wypowiedzi i prac eks-ambasadora zmusza nas do dalszej obserwacji i do notowania jego zamiarów, bo nie są one zabawne ani nieważne. Nie są to też zamiary jego. Jego, Putramenta, życiowa postawa i jego w tej postawie szczególny dorobek, ma być dorobkiem kultury polskiej, polskiego piśmiennictwa. Ma być wzorem dla młodszego pokolenia. To ma być — w zamiarach sowieckiego reżimu w Polsce — „arka przymierza między nowymi i dawnymi laty“. O sobie bowiem i jemu podobnych, Putrament na plenum zarządu literatów mówi tak w referacie: „Jesteśmy spadkobiercami wszystkiego co najlepsze, co przetrwało z 400 lat istnienia naszej literatury. Jesteśmy dumni, że należymy do literatury Mickiewicza. Jesteśmy dumni, że przypadło nam w udziale dźwignąć ją naprzód“.

W tej liczbie mnogiej, w tym „mysmy“ Putrament podciąga się do symbolu ideału artysty i pisarza. Warto więc wrócić do rzeczywistości, którą ten chodzący ideał ujął sam w swej powieści pt. „Rzeczywistość“.

Warto przypomnieć, że Putrament i jemu podobni, „postępowi“ intelektualiści polscy to przypadkowe pionki w rozgrywce przedwojennej o styl życia w wolnej Polsce, o jej prawdziwą kulturę i treść tej kultury. W walce, jaką od r. 1926 nieubłaganie toczył ze społeczeństwem sanacyjny aparat rządowy, w tej tragicznej wewnętrznej sprawie Polaków, sięgnięto wszędzie, gdzie to było możliwe, po garść wykolejeńców. Putrament, Jędrychowski, Sztachelski, Dembiński — byli oczkiem w głowie wileńskiej sanacji, bo byli potrzebni do zwalczania wpływów obozu narodowego. Ich pozycja pisarska — to rezultat celowej i przemyślanej polityki tych sfer, które patent artystycznego poziomu nadawały tylko wtedy, jeżeli adept wykazał się czynnym zaangażowaniem (choćby tylko myślowym) przeciw ideologii narodowej. Od tego momentu młodzieńca drukowano, odtąd przyznawano mu nagrody, zagraniczne stypendia, robiono wszelkimi sposobami szum na temat: „jaki on zdolny“. I to beztalencie absolutne, pełniące dziś reżimową funkcję generalnego sekretarza komunistycznej literatury — miało dokoła siebie taki sam szum, jak jego przyjaciele, bo — jak sam opisuje — w „Rzeczywistości“ oni — wileńscy komuniści — byli jedyną poważniejszą siłą do przeciwstawienia się wpływom narodowym wśród młodzieży. Na tym ich życiowa kariera została oparta. To był ten pierwszy start. Ale tego — oczywiście — w „Rzeczywistości“ nie ma. Jest za to okres bohaterskiej walki, konspiracja z ryzykiem życia, nędza, niezrozumienie, prześladowanie policji i to wszystko, co od początku do końca jest zełgane, nierzeczywiste. Bo na odwrót: to były polityczne sadzonki, rośliny pod szkłem. Ironią losu i dowodem złego nosa w polityce sanacyjnej było właśnie to, że ten zespół pupilków, podobnie jak inne, przez pewien czas siedział na dwóch stołkach, po czym odmaszerował w całości pod komendę Kominternu.

Gdy się spostrzeżono, nastąpiła próba zawrócenia młodzieńców z tej drogi, śledztwo — ale nie za dalekie, postępowanie prokuratorskie i sprawa sądowa, ale z taką obroną, że aż pp. oficerowie przy szablach zaczęli nawiedzać urząd prokuratorski, gdy prokurator w swych przemówieniach ośmielił się podważać zeznania jednego ze świadków obrony. Młodzieńcy wyszli na wolność. Dla równowagi zaś obito znanego z przekonań narodowych, na wpół sparaliżowanego profesora Stanisława Cywińskiego, skazując go potem z nieistniejącej ustawy na więzienie.

Takie były „Sturm und Drang Perioden“ Putramenta i towarzyszy. Mały, przypadkowy patyk w szprychy koła tragicznych spraw wewnętrznych Polski. Rola obskurna, wazeliniarska, nagradzana najpierw przez możnych wewnątrz Polski, potem opłacana srebrnikami judaszowymi Kominternu.

Nie warte by to było nawet jednego zdania wzmianki, gdyby nie wczorajsza i dzisiejsza rola Putramenta & Co. w Polsce.

Wczorajsze zadania — to punkt przekaźnikowy dla sowieckiej akcji szpiegowskiej na terenie Europy zachodniej m. in. przez „ambasadę“ w Paryżu, gdzie Putrament, znów dobrze opłacany, odegrywał rolę rzecznika niepodległego państwa polskiego. Co się działo za kulisami tej roli, o tym nie jest głucho.

Dzisiejsza, najnowsza rola autora „Rzeczywistości“ podobna jest mechanicznie do tej, którą już raz w życiu odegrywał. Ma być niezbędnym pionkiem na szachownicy, po której sowieccy gracze na Kremlu punkt po punkcie, figura po figurze, zdejmują przeciwnika, zaganiają go w sytuacje bez wyjścia aż do takiej, w której pozostanie już tylko do powiedzenia: „mat“. Koniec. Koniec narodu, jego odrębnej kultury, jego własnej drogi życia, wiary, obyczaju, wartości indywidualnych i zbiorowych.

Do likwidacji tych wartości służy cały aparat reżimu, instruowany i kierowany doświadczonym zespołem z Moskwy. Do tych celów została w Polsce powołana i rozbudowana na wzór sowiecki PZPR — partia komunistyczna, zastępująca wszędzie państwo, a więc i w jego zadaniach kulturalnych. Aparat ten nazywa się w słownictwie propagandowym „polską klasą robotniczą“, choć z polską klasą robotniczą ma on tyle wspólnego, co Putrament, Jędrychowski, czy Berman. To aparat likwidacji narodu. Młyn do przemiału Polaków na społeczeństwo sowieckie. Putrament ma dopilnować tego (wraz z innymi dozorcami olbrzymiego więzienia), żeby literatura w Polsce zadania PZPR, zadania radzieckie, przyspieszyła, żeby rozładowała opór, ogłupiła doszczętnie zabijając prawdziwy zmysł estetyczny. „Winniśmy ukazać — mówi Putrament — w dziele artystycznym te zadania, które przed naszym narodem postawiła Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która postawił jej przewodniczący Bolesław Bierut.“ I dalej, żeby nie było wątpliwości, co do ideału artystycznego literatury w pojęciu Putramenta i Sowietów, tak się poucza literatów: „Siła, specyfika artystyczna polega właśnie na tym, aby nie nagą formułą polityczną, nie doczepionym politycznym komentarzem, ale logiką obrazów, postaci, rozwoju konfliktu przekazywać odbiorcy słuszną treść polityczną. Obraz artystyczny dłużej i głębiej zapada w świadomość ludzką niż najczęściej powtarzane slogany. Nie przypadkiem Stalin nazwał pisarzy inżynierami dusz ludzkich“.

Więc o to właśnie chodzi. Literatura ma uzupełnić slogany PZPR i zrobić to skuteczniej. Powołanie się Stalina na duszę ludzką należy już do drobiazgów załgania i Putramenta i jego ideału — Stalina. Ten zaś ostatni, jak wynika z licznych procesów pokazowych, — zna również inne systemy „inżynierii“ w odniesieniu do świadomości człowieka. Ale od tego w Polsce jest Radkiewicz.

Realizując plan PZPR, plan sześcioletni i wskazania Lenina-Stalina literatura polska ma własnymi rękami zniszczyć to, na co się powołuje

Putrament jako na dziedzictwo. Oprócz tzw. tematyki produkcyjnej, to jest owej realizacji polityki PZPR, literatura ma także podjąć tematykę historyczną, po to, żeby wykazać związek logiczny między Kochanowskim, Krasickim, Mickiewiczem a Putramentem i Wasilewską. Nie, nie można się odwracać od historii. „Na odwrót, właśnie teraz jest najwyższy czas, aby spojrzeć na naszą przeszłość dalszą i bliższą oczyma uwolnionymi od optycznych błędów historii burżuazyjnej. Literaci dzisiejsi, zapoznający się coraz gruntowniej z marksizmem, są jak astronomowie, którym wreszcie dano do ręki precyzyjny teleskop."

I znów Putrament dosiada zbyt uskrzydlonego pegaza. Z tą astronomią, kierowaną przez Politbiuro partii komunistycznej jest tak samo jak z całym „realizmem socjalistycznym" w literaturze sowieckiej. Po prostu — wulgarna propaganda tez partii, zmierzających w wypadku Polski do likwidacji resztek państwa i do przemielenia narodu na tłum, proletariat. W tej astronomii błąka się jeszcze może piękny napis na starym obserwatorium astronomicznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, głoszący od przeszło stu lat, że tędy się idzie do gwiazd. Putrament i jego sowieccy towarzysze nic z tych napisów ani z ducha kultury wileńskiej nie zrozumieli.

Ale wróćmy jeszcze do owego „precyzyjnego teleskopu" literatów prowadzonych przez komunizm. Przy okazji PZPR ustami Putramenta chce „oczyścić wizję naszych dziejów ze świadomego zakłamania". Oprócz znanej czystki historycznej, której próbki pismo nasze zamieściło parę miesięcy temu, ma się dodatkowo opracować „istotne przyczyny wojen z Rusią, nieludzki ucisk chłopa polskiego czy ukraińskiego, przyczyny rozbiorów i nieudanych powstań, dzieje ruchu robotniczego, aż po prawdziwy obraz Polski burżuazyjnej, prawdziwy obraz wojny wrześniowej, okupacji i walki zbrojnej z okupantem, aż wreszcie po najświeższy, ale już historyczny okres obejmowania władzy w wyzwolonej Polsce przez masy pracujące — wszystko to są tematy albo wcale, albo niedostatecznie albo fałszywie w naszej literaturze przedstawione".

Oto zadanie. Nie wystarczy spreparować Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, wyrzucić na indeks Wyspiańskiego, „późnego" Sienkiewicza — trzeba walkę z kulturą polską poprowadzić głębiej i szerzej, żeby Polacy się naocznie przekonali, że wszystko, co dotychczas było szanowane, godne jest pogardy i nienawiści, że natomiast dotychczasowe wstydliwe i brudne strony naszych dziejów są przedmiotem dumy. Z tak „realistycznie" przerobionym społeczeństwem można już zrobić wszystko.

Putramentowi potrzebna jest także liryka. PZPR reprezentuje bowiem społeczeństwo najprawdziwiej, najgłębiej humanistyczne. „Nasza wolność ludzka — powiada bez zająknienia — nie jest wolnością dla silnego drapieżcy, nie jest wolnością panoszenia się kosztem poniżenia słabszego. Dlatego stosunki między ludźmi układają się u nas w nowej zdrowej i czystej atmosferze." Tutaj — możemy Putramentowi tego szczerze pogratulować — osiągnął (jak dotychczas) szczyt swego życiowego zakłamania. To liryka z tego gatunku, co głośne już napisy na bramach niemieckich obozów śmierci „Arbeit macht frei", albo śpiew sowieckich łagierników „Ja drugoj strany takoj nie znaju, gdie tak wolno dyszyt' czeławiek". To absolutnie i żywcem stamtąd wzięte. Dlatego liryka zalecona przez PZPR nie może być pesymistyczna. Ani słowa skargi! Ani słowa elegii, tęsknoty do wolności! To bowiem jest zaraza emigrancka. „Kultura" paryska oddała Cyrankiewiczowi i Putramentowi wielką usługę swym niełądnym i niemądrym wierszem o szczurze. Odtąd emigracja polska jest przez polskich bolszewików nazywana „zeszczurzałymi niedobitkami ciemnego wczoraj". „Liryka pesymistyczna w dzisiejszej chwili — poucza autor „Rzeczywistości" — wyrażałaby uczucia resztek wrogiej nam klasy społecznej, agentury szpiegowskiej, zgniłej emigracji." Tu następuje powołanie się na rzekomo typowy dla emigracji, nihilistyczny wiersz o szczurze. Wszystko zaś w piśmiennictwie ma zmierzać do ukazania czytelnikowi polskiemu wielkości Sowietów i Stalina. Więcej, ma ta literatura przekonać społeczeństwo, że z chwilą najazdu komunistycznego rozpoczęła się nowa epoka. Tak jak inne epoki ma ona nosić nazwę jej twórcy. Miano epoki Stalina. A dotychczas zbyt mało się o tym pisało. „Ukazanie naszym rodakom całej wielkości tego, czyjego imieniem będzie nazwana nasza epoka — oto ważne i zaszczytne zadanie, które, mimo kilku dzieł z pięknym poematem Broniewskiego na czele, nie jest jeszcze spełnione."

* * *

Głównym celem niniejszego artykułu było wykazanie na przykładzie jednym, szczególnym, dróg walki sowieckiej z Polską. Nie była to żadna rozprawa z Putramentem. Jeżeli zająłem się nim trochę dłużej to dlatego żeby tego pana i jemu podobnych ustawić na właściwym miejscu spraw polskich. To nasz najbardziej bezwzględny nieprzyjaciel. To wróg. Nie żaden „klasowy" czy ideologiczny, bo na tematy ideologii każda minuta dyskusji z tymi ludźmi jest stratą czasu. To zwyczajny wróg zewnętrzny, okupujący Polskę tak, jak ją okupują Konstanty Rokossowski, Bierut, czy inni ludzie sowieccy. Tylko dlatego zjawisko fizyczne „Putrament" interesuje nas i każe nam sobą zajmować uwagę.

Nie było też celem moich uwag wywołanie wrażenia, że akcja Putramenta czy innych likwidatorów kultury polskiej odbywa się przy zupełnym zaniku woli obrony ze strony atakowanego społeczeństwa. I wola i działanie jest. Zarówno bierne jak i czynne. Nie można publicznie charakteryzować tej akcji, bo pan Putrament zaraz zwróci się do swego kolegi pana Radkiewicza o inne środki z dziedziny „realizmu socjalistycznego". Trzeba wiedzieć, że się naród broni i tej wielkiej masie obrońców polskiej kultury, polskiego stylu życia — przesłać słowa podziwu. Wiemy, że bitwa na linii duszy, na linii intelektu toczy się w całej pełni i że na ataki w rodzaju szeroko tu omówionych planów Putramenta (Politbiura) społeczeństwo odpowiada w taki sposób, jaki jest możliwy w warunkach drapieżnej przemocy okupanta.

Czasem jednak (nie po stronie Putramenta) zjawi się akcent niezrozumienia istoty walki, linii podziału i metod działania. Za takie niezrozumienie polska wolna opinia uznać musi wystąpienie pp. Stommy i Turowicza w grudniu ub.r. na łamach „Tygodnika Powszechnego", nr 50 z 10.12.1950, kiedy to zgłaszając lojalność dla polityki reżimu uderzyli lewym skrzydłem w emigrację polską. Nie było to — naszym zdaniem — uderzenie tylko kurtuazyjne (z kurtuazji dla Putramenta). W serii artykułów p. Turowicza znaleźliśmy wyjaśnienie tej dziwnej postawy. Tak, jak komuniści wszystkie wartości narodowe polskie uznali za rzecz konieczną do likwidacji, niepowtarzalną, tak pp. Stomma i Turowicz polskie idee i ruchy polityczne sprzed okresu „Polski ludowej" uznali za przebrzmiałe echo w polskiej rzeczywistości. Wolno p. Stommie mieć takie poglądy, tylko szerzenie ich pod auspicjami jedynego niezależnego tygodnika katolickiego jest, powiedzmy to wyraźnie, więcej niż niewłaściwe. Nie odpowiada to bowiem poglądom tych olbrzymich mas w Polsce, które milczą zupełnie, które żadnego tygodnika do wypowiedzi nie mają.

Ktoś może przytoczyć argument przymusu. Człowiek w lochach Gestapo czy Bezpieki nie może mówić wszystkiego. Ale żaden człowiek w lochach Gestapo czy Bezpieki nie zajmował się szerzeniem i powielaniem tych słów, które tam pod przymusem wypowiedział. Odgradzanie narodu polskiego od jego wolnej części działającej na wychodźstwie nie jest robotą dobrą, nie służy Polsce. Przypisywanie emigracji tendencji rozpalania walki wewnętrznej w Polsce jest również niezgodne z prawdą. Żadna poważna grupa na emigracji tendencji takich nie przejawia. Troską powszechną jest uchronienie kraju przed dalszym upustem sił. O tym się tutaj mówi i pisze. To się tłumaczy nieustannie przedstawicielom narodów zachodnich.

Może wystarczyłoby już odejście do bezpośredniej propagandy reżimu takich publicystów jak p. Lech Beynar? Po co mnożyć te smutne przykłady?

I te słowa, choć z ciężkim sercem.

musiały być wypowiedziane. Walka z komunizmem nie pozwala bowiem na tolerowanie jakichkolwiek sztucznych linii podziału, na mnożenie tego co samo nieszczęście naszego położenia i tak z roku na rok — pogłębia. Skupiamy siły i w tym nikt nam przeszkadzać nie może.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

REWOLUCJA WSCHODNIO-EUROPEJSKA

Hugh Seton-Watson: THE EAST EUROPEAN REVOLUTION, Londyn, 1950. Stron XV + 406. Cena 22/6.

Hugh Seton-Watson jest synem profesora R. W. Seton-Watsona, uchodzącego za znawcę spraw środkowo-europejskich w Anglii a związanego nićmi szczególnej sympatii z Czechami. Seton-Watson Junior napisał przed paru laty książkę „Eastern Europe Between the Wars", w której bardzo nieżyczliwie potraktował sprawy polskie. Od tej pory zasób jego wiedzy o Europie środkowej powiększył się znacznie i nowa jego książka, „Rewolucja wschodnio-europejska" jest o wiele mniej powierzchowna. Być może zresztą, że i sam temat ułatwił zadanie pisarskie: o sowietyzacji krajów środkowo-wschodniej Europy jest łatwiej pisać w sposób syntetyczny i obiektywny niż o samodzielnym rozwoju poszczególnych, tak bardzo różnych, narodów tego regionu.

Ta stosunkowa łatwość tematu zaznacza się i w samej nowej książce p. Seton-Watsona. Jest w niej ogromna różnica między wartością tego, co pisze o zmianach zachodzących w tych krajach obecnie, o okresie okupacji komunistycznej, a tego, co pisze o okresie przedwojennym i wojennym.

Jak wskazuje sam tytuł książki, autor uważa zmiany wywołane okupacją sowiecką za rewolucję. Wyjaśnia jednak szczególnie znaczenie tego słowa. „Rewolucja wschodnio-europejska — pisze — została narzucona z zewnątrz i z góry. Nie może ona być porównana z rewolucjami lat 1688, 1789 i 1917. Lecz choć narzucona, niemniej przeto jest rewolucją." Skutki tej rewolucji interesują autora z punktu widzenia angielskiego. Stwierdza on, że „jeżeli sowietyzacja wschodniej Europy będzie mogła być utrwalona, okaże się ona prawdopodobnie dla Moskwy zdobyczą bardziej cenną niż sowietyzacja Chin z ich 400 milionami ludności".

Autor wychodzi z założenia, że ustrój społeczny i polityczny Europy środkowo-wschodniej między wojnami światowymi „był bliższy ustrojowi carskiej Rosji niż zachodniej Europy, lecz jej kultura była dużo bardziej zachodnia niż kultura Rosji carskiej". Stąd przejście do „cywilizacji świata sowieckiego" jest dla tych narodów daleko większą zmianą niż było dla narodów Rosji.

Autor przyznaje, że był kompletnym ignorantem w sprawie komunizmu w czasach przedwojennych i wojennych i że właściwie wszyscy ludzie na Zachodzie byli podobnymi ignorantami. Mniej słusznie przenosi tę krytykę na społeczeństwa Europy środkowo-wschodniej. „Co zaś do odpowiedniego nam pokolenia we wschodniej Europie, które nie tylko było nieświadome natury komunizmu ale niewiele przedsięwzięło kroków dla usunięcia krzywdy społecznej, jaką żył komunizm, to ma ono mniej racji niż ktokolwiek do chwalenia się mądrością polityczną." Otóż jest nieprawdą, że współczesne pokolenie środkowo-wschodniej Europy nie znało istoty komunizmu. Nie tylko wielu spośród Polaków, Rumunów czy Węgrów na własnej skórze doświadczyło komunizmu, ale istniały, choćby w Polsce, wcale poważne ośrodki badania komunizmu i Sowietów, wyszło sporo książek i studiów a ilość ludzi, którzy znali pisma Lenina i Stalina była przed wojną w Polsce o wiele większa niż jest dziś w Anglii. Co zaś do przedsiębrania kroków dla usuwania krzywdy społecznej, to, cokolwiek byśmy powiedzieli o niedostateczności przeprowadzonych reform, sam p. Seton-Watson w dalszych rozdziałach swej książki opisuje jak wiele kroków w tym kierunku podejmowano nawet w krajach bałkańskich i tłumaczy ich małą stosunkowo skuteczność brakiem kapitałów i niemożnością szybkiego rozwoju przemysłu. Krzywda społeczna w Czechach była na pewno znacznie mniejsza niż w Anglii. Poprawa położenia chłopów w Rumunii między wojnami większa niż poprawa położenia robotników w Anglii, ubezpieczenia społeczne w Polsce wyprzedziły znacznie odpowiednie reformy brytyjskie a w ogóle zmiana ustroju społecznego w krajach między Niemcami a Rosją w ciągu dwudziestolecia była bardzo duża, w każdym niemal z nich zrobiono nie niewiele ale bardzo wiele kroków w kierunku wyrównania różnic społecznych.

Oczywiście autorowi nie łatwo było wyrobić sobie o tym własne zdanie, skoro jak przyznaje w Polsce np. w ogóle nie był (opiera o niej najważniejsze informacje na literaturze sowieckiej), w Albanii także nie, w pozostałych opisywanych krajach raz w lecie r. 1946, tylko w Czechosłowacji i na Węgrzech drugi raz na wiosnę r. 1947. Na jego dobro natomiast należy zapisać, że starał się poznać języki wszystkich tych narodów i aktualniejsze w nich wydawnictwa.

Książka składa się z trzech części: pierwsza (rozdziały I i II) mówi o stosunkach przedwojennych, druga (rozdziały II — VII) o czasach wojny, trzecia (rozdziały VIII — XIV) o sowietyzacji. Między tymi częściami jest zasadnicza różnica. Część trzecia w sposób obiektywny, choć nieco formalny omawia działalność rządów bolszewickich w poszczególnych krajach Europy środkowo-wschodniej, wykazując zasadniczą tożsamość celu i wzoru i drugorzędność lokalnych różnic wykonania w zależności od rodzaju oporu wykazywanego przez te narody. Część druga opisuje politykę niemiecką i ruchy oporu raczej ostrożnie i zwięźle ale z rozłożeniem cieni i świateł wedle sympatii autora. Część pierwsza jest wyraźnie chybiona. Próbuje ona jednym tchem i jednym zdaniem opisać ustrój społeczny i polityczny Grecji i Czech, Albanii i Polski, Węgier i Bułgarii. Wychodzi z tego, bo i wyjść musi, karykatura.

Kilkostronicowy rzut historyczny zawiera uproszczenia przesadne. Na przykład cały zabór pruski w dziewiętnastym wieku autor nazywa „Pomerania" (czyżby połączenie w jedno słowo Pomorza z Poznaniem?). Twierdzi, że w trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia w Polsce, na Węgrzech i w Rumunii szlachta zaczęła się wyprzedawać pod wpływem kryzysu a jej ziemia została nabyta „częścią przez magnatów a częścią przez banki". Jest to częściowo słuszne w odniesieniu do Rumunii i Węgier (w stosunku do każdego z tych krajów w innej części słuszne), natomiast zupełnie niesłuszne w odniesieniu do stosunków polskich, gdzie z bankructwa ziemian nie korzystali ani magnaci ani bankierzy. „Przed r. 1918 — pisze dalej — inteligencja w Polsce, na Węgrzech i w Rumunii rekrutowała się częściowo z ludności żydowskiej a częściowo z dawniej ziemiańskich rodzin szlacheckich." Skrót nieprawdziwy. Przed r. 1918 prawie cała inteligencja polska zaboru niemieckiego rekrutowała się z ludu, tak samo znaczna część inteligencji zaboru austriackiego a nawet w zaborze rosyjskim, gdzie dopływ z dołu był najsłabszy, nie składała się ona, jakby wynikało z tekstu książki, w podobnych co do wielkości częściach z Żydów i szlachty, gdyż był w niej wcale spory procent pochodzenia mieszczańskiego. W ogóle p. Seton-Watson zdaje się znać nieco bliżej tylko społeczeństwa bałkańskie i, pamiętając od ojca, że Czesi zasługują na odrębne nieco traktowanie, na resztę patrzy wyraźnie przez okulary swoich wrażeń bałkańskich. Opisuje na przykład jak studenci przynieśli z Francji i Niemiec liberalizm i nacjonalizm w ubiegłym stuleciu, co nie jest prawdziwe w odniesieniu np. do Polski i Węgier.

Granice, jakie nadaje obszarowi „wschodniej Europy" p. Seton-Watson, są uzasadnione tylko obecnym położeniem politycznym, a nie jakimiś głębszymi powodami. Łączenie w jeden obszar Grecji i Albanii z Czechami i Polską a wykluczenie z tego obszaru krajów bałtyckich stwarza dość nienaturalny konglomerat.

Mówiąc jednym tchem o robotnikach rolnych tego różnorodnego obszaru, p. Seton-Watson o Polsce ma tyle do powiedzenia, że związki ich

„pojawiły się w r. 1919. Były one do pewnego stopnia prowadzone przez komunistów i po wojnie z Sowietami w r. 1920 władze skłonne były do traktowania ich jako organizacji wywrotowych“. A przecież w Londynie p. Seton-Watson nie miałby najmniejszych trudności w dowiedzeniu się prawdy o związkach robotników rolnych od p. Kwapińskiego, ich organizatora i przywódcy.

Autor omawia przeludnienie wsi wschodnio-europejskiej i stwierdza, że wyjściem z niego nie mogła być ani parcelacja większych majątków, gdyż zapas ziemi był niewystarczający, ani rozwój przemysłu, który nie mógł postępować dość szybko z powodu braku kapitału. Po tych obserwacjach raczej dziwne się wydaje, że autor w ruchu antysemickim widzi jedynie machinację rządów chcących odwrócić uwagę ludności od problemów politycznych.

W opisie struktury politycznej krajów Europy środkowo-wschodniej p. Seton-Watson przyjmuje marksistowski podział na stronnictwa burżuazyjno-demokratyczne, chłopskie, marksistowskie i faszystowskie. Wśród stronnictw burżuazyjno-demokratycznych najwięcej miejsca poświęca polskiemu ruchowi narodowemu. Twierdzi, że „partia ta opierała się do pewnego stopnia o tradycje rewolucji francuskiej, lecz jej nacjonalizm był znacznie silniejszy niż jej liberalizm“. Działalność Dmowskiego usiłuje wytłumaczyć argumentami marksistowskimi: „Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne było ściśle związane z powstającą polską warstwą średnią, przeważnie arystokratycznego pochodzenia, która wchodziła do wolnych zawodów i handlu. Handel polski był coraz bardziej związany z wielkim rynkiem rosyjskim, Dmowski przeto pracował energicznie, choć bez powodzenia, nad współpracą polsko-rosyjską w ramach polityki „neosłowiańskiej“ skierowanej przede wszystkim przeciwko Niemcom“. Widać zresztą wyraźnie, że autor ruchu narodowego polskiego nie tylko nie rozumie, ale i nie lubi. We wstępie pisze on, że ruchy nacjonalistyczne w Europie wschodniej w późnych latach trzydziestych stały się narzędziami Niemiec hitlerowskich, a dalej „wszystkie stały się najbardziej usłużnymi agentami imperializmu niemieckiego“. Jednakże musi sam sobie zaprzeczyć w rozdziale opisującym polską Narodową Demokrację: „Stawała się ona — pisze — coraz bardziej antysemicka, lecz jej antyniemiecki nacjonalizm ustrzegł ogromną większość jej zwolenników od ulegnięcia propagandzie hitlerowskiej“. Mimo zakwalifikowania ruchu narodowego jako partii burżuazyjnej, stwierdza, że miała ona oparcie w szerokich masach ludowych „głównie dzięki wpływom Kościoła Katolickiego“.

Narodowa Demokracja jest jedynym stronnictwem „burżuazyjno-demokratycznym“ jakie autor widzi w Polsce. Za odpowiednie ruchy w Czechach uważa narodową demokrację Kramarza i narodowych socjalistów Benesza, na Węgrzech odpowiedniego ruchu nie znajduje, a rolę jego przypisuje częściowo blokowi rządowemu admirała Horthyego, w Rumunii partię liberalną i „zaranistów“ Maniu, w Serbii partie radykalną i demokratyczną, w Grecji liberałów i rojalistów. Wśród partii chłopskich opisuje polski ruch ludowy, czeskich agrariuszy, partię ludową rumuńską, chorwacką i bułgarską. Wśród partii marksistowskich, poza komunistami poświęca najwięcej uwagi Polskiej Partii Socjalistycznej i czeskiej socjalnej demokracji. Partie faszystowskie dzieli na dwa typy: oficjalne i demagogiczne. Za faszystów oficjalnych uważa w Polsce piłsudczyków, a za faszystów demagogicznych ONR. Co do tych ostatnich stwierdza, że mieli małe oparcie poza miejską klasą średnią.

Opisując ruchy oporu nie szczędzi autor słów podziwu dla bohaterstwa Polski podziemnej. Stwierdza, że zachowanie Sowietów w stosunku do powstania warszawskiego było co najmniej dwuznaczne i kończy uwagą: „Bohaterski opór Polaków wobec okupacji niemieckiej, który nigdy nie osłabł i słusznie zdobył podziw świata demokratycznego, zakończył się zniszczeniem stolicy i ustanowieniem nie wolności, o którą Polacy walczyli, lecz narzuconego rządu, który dał bohaterom oporu wybór między wygnaniem, wyjęciem spod prawa lub poddaniem się marionetkom obcego mocarstwa“. W opisie wewnętrznych stosunków Polski podziemnej światła rozłożone są nierówno. Autor mówi o siłach zbrojnych ludowców, o roli socjalistów w miastach, co zaś do narodowców ogranicza się krótko do zdania: „Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, złożone częściowo z chłopów, a częściowo z miejskiej klasy średniej, dostarczyło wielu techników ruchowi podziemnemu“.

Nie mamy tutaj miejsca na obszerniejsze zrelacjonowanie ruchów oporu i poglądów na nie p. Seton-Watsona w krajach bałkańskich, głównie w Jugosławii i Grecji.

Sprawy stosunku między aliantami a rządem polskim w czasie wojny podane są na ogół rzeczowo i obiektywnie. Autor stwierdza, że w sprawie Katynia Sowiety nie miały racji i że Polacy mieli prawo domagać się międzynarodowego śledztwa. Opisawszy wahania „nieszczęsnego Mikołajczyka“ i nacisk na niego aliantów, mówi, że następca jego Arciszewski „reprezentował uczucia Polaków nie tylko na wygnaniu, ale i w kraju“.

Opis sowietyzacji Polski nie przynosi nic nowego dla czytelnika polskiego, daje jednak czytelnikowi angielskiemu dość wyraźny obraz rozwoju sytuacji. Najbardziej interesujące są rozdziały, dotyczące odbudowy krajów środkowo-europejskich i planów kilkoletnich. Autor stwierdza, że kraje te nie posiadają wyekwipowania w nowoczesne narzędzia produkcji, stąd używa się tam masowo pracy ludzkiej w postaci niewykwalifikowanych robotników, kierowanych przez niedostateczną ilość techników. Stosunek owych techników do robotników jest podobny do stosunku podoficera do rekrutów. Autor nie widzi możliwości wolności pracy i poprawy stosunków społecznych, dopóki w krajach tych brak jest narzędzi nowoczesnych i masy wykwalifikowanych techników przemysłowych. W obrazie tym nie przeprowadza wyraźnego rozróżnienia na poszczególne kraje, w których poziom rozwoju gospodarczego jest przecież bardzo różny.

W sprawie sytuacji międzynarodowej p. Seton-Watson zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa komunistycznego i z możliwości nowej wojny światowej, wyraża jednakże nadzieję, że mocarstwa zachodnie potrafią jej uniknąć. „Każdy rok pokoju — mówi on — jest zyskiem dla ludzkości w tym sensie, iż jest to rok ocalony od wojny.“

Interesujące jest przewidywanie przez p. Seton-Watsona, co by się stało w razie uwolnienia krajów środkowo-europejskich: „Gdyby obecne rządy zostały obalone, nastąpiłaby po nich fala nacjonalizmu, który może zwracałby się przeciwko sąsiednim narodom, lecz na pewno zwróciłby się przeciwko wszystkim komunistom i wszystkim Rosjanom. Byłby on połączony w większości wypadków z fanatyzmem religijnym. Szukałby zemsty. Miałby wiele zewnętrznych cech podobieństwa do faszystowskich i klerykalno-faszystowskich ruchów w przeszłości, takich jak rumuńska Żelazna Gwardia lub austriacka Heimwehra“. Wprawdzie autor uważa, że jest to „ponura perspektywa“ i że Zachód powinien „wykorzystać każdą sposobność dla wpłynięcia na wydarzenia w innym kierunku“, lecz mimo to sądzi, że byłoby rzeczą złą nie zwalczać komunizmu dlatego, że w rezultacie może wyniknąć faszyzm. Zachód nie zna zagrożenia bytu narodowego stąd nie może zrozumieć nacjonalizmu narodów środkowej Europy: „Narody wschodnio-europejskie są przyparte do muru. Jeśli Zachód nie może im pomóc, to nie powinien ich obrażać“.

W sumie „The East European Revolution“, chociaż daje wykoszlawiony obraz tła historycznego aż do drugiej wojny światowej, w swej części informacyjnej dotyczącej stosunków powojennych stanowić może pożyteczną lekturę dla czytelnika anglosaskiego, dającą mu obraz, jeśli nie nazbyt głęboki, to dość jasny i różnostronny.

W. W.

„OBRACHUNEK WŁODARZY“

Edmund Różycki: OBRACHUNEK WŁODARZY. Opowieść o Wrześniu. Londyn, 1951. Stron 221.

Nagrodzona w ubiegłym roku w rękopisie przez „Veritas“ opowieść p. Edmunda Różyckiego wyszła obecnie drukiem. Można by ją określić jako upowieściowany pamiętnik z kampani wrześniowej.

Zasadniczy trzon stanowią przeżycia oficera w dowództwie dywizji w czasie odwrotu od Sanu po Lwów. Do tego dodano kilka fragmentów, jak przygoda wojenna, w tradycyjnym stylu, młodego porucznika i ideologiczne rozmowy z gospodarzem wiejskim i matką poległego żołnierza. Właściwe wspomnienia nie są pisane jak sprawozdanie wojskowe, lecz jak bardzo żywo, plastycznie i z dużym zmysłem obserwacji odtworzone wspomnienia przeżyć osobistych. Każdy prawie Polak ma jakieś przeżycia z okresu walk wrześniowych. Oryginalność punktu widzenia autora polega na tym, że był on oficerem sztabowym. Jak to określił prof. Stroński w swoim przemówieniu podczas zeszłorocznego rozdania nagród „Veritasu“: „Ten oficer nie był ani tak wysoko, aby w ogóle nie wiedzieć, co się dzieje, ani tak nisko, aby widzieć tylko to, co się dzieje na kilka metrów od niego“. Autor daje obraz kilkunastu dni z życia jednej dywizji, ale to już pozwala na stworzenie przybliżonego obrazu przeżyć wojska jako całości.

Tytuł książki „Obrachunek włodarzy“ określa w dużej mierze stosunek autora do tematu. Włodarzami są tutaj wyżsi wojskowi odpowiedzialni za przygotowanie do wojny i dowodzenie podczas niej. Wyczuwa się z tych wspomnień, że autor, żołnierz nie tylko z zawodu, ale i z prawdziwego powołania, żyjący przygotowaniem do wojny, przesiąknięty wysokimi pojęciami o wartości i roli oficera, przeżył klęskę wrześniową niesłychanie silnie, a mając następnie długi czas do samotnych rozmyślań przeżywał wszystkie doświadczenia wielokrotnie i ujął je w formę gorzkiego obrachunku. Nie wydaje się, by autor przed wojną interesował się polityką lub by oceniał całość zagadnienia, jakim w życiu Polski była tzw. sanacja. Jako oficer nie mógł jednak nie odczuwać i nie zauważać działania kliki legionowej w wojsku. Straszliwa dysproporcja między pyszałkowatością ludzi, którym się zdawało, że nie tylko wyzwolili, ale i zdobyli dla siebie Polskę, a ich zupełną nieporadnością w chwili próby wojennej stanowi główny, choć nie zawsze nazwany nurt bolesnych przeżyć bohatera opowieści, mjr Kisiela.

Z obrazu zakreślonego przez p. Różyckiego widać wyraźnie, że już po tygodniu wojny dowodzenie istniało właściwie tylko na poziomie pułku, a z rzadka dywizji. Jak z wszystkich przytoczonych scen wynika, oficer polski umiał być doskonałym dowódcą kompanii i batalionu. Rodzi się jednak wrażenie, że oficerowie legionowi przez dwadzieścia lat niczego się nie nauczyli i, choć ozdobieni szlifami generalskimi, byli w dalszym ciągu na poziomie dowódców batalionu. Nie brakło im najczęściej odwagi, niejeden potrafił bohatersko zginąć, ale wobec problemów dowodzenia większymi jednostkami w nowoczesnej wojnie gubili się zupełnie, a nawet załamywali.

Autor ma niewątpliwy talent odtwarzania nastroju przez żywy a prosty dialog. Dialogi jego robią wrażenie bardzo autentycznych, choć nie wpadają nigdzie w wulgarność. Obfitość szczegółów faktycznych nie rozbija jedności książki, ponieważ zainteresowanie autora cały czas jest skoncentrowane na samej kampanii, na życiu rozkładającej się dywizji, a nie na osobistych przeżyciach bohaterów, które mają raczej charakter ilustracji.

Nie czujemy się w żadnej mierze kompetentni do oceny na ile opowieść ta jest ścisła z punktu widzenia historii wojny r. 1939. Możemy tylko poprzestać na twierdzeniu, że jest ona prawdopodobna a niewątpliwie prawdziwa psychologicznie. Jej obraz, choć widziany od strony sztabu dywizji, jest zgodny z obrazem, który miał przeciętny żołnierz, przeciętny obywatel. Potwierdza on z jednej strony głęboki patriotyzm i cnoty żołnierskie Polaków, z drugiej nieudolność i załamanie organizacji wojska. Gdyby ktoś w podobny sposób opisał kampanię francuską r. 1940, obraz musiałby wypaść odwrotnie, choć obraz i szybkość klęski były w obu wypadkach podobne.

Autor stoi na stanowisku katolickim i główną przyczynę zła widzi w braku moralności i poczucia odpowiedzialności. Nie jest on wolny od pewnego egocentryzmu, płynącego być może z wewnętrznej potrzeby skontrolowania swojej roli i odcięcia się od środowiska winnego nieszczęściu.

Autor ma duże poczucie piękna przyrody i czytelnik nie traci z oczu krajobrazu, w którym się cała kampania odbywa, poczynając od Wisłoka po Las Brzuchowicki. Postaciom w swej książce ponadawał p. Różycki nazwiska historyczne lub powieściowe, powiązanie jednak między tymi nazwiskami a postaciami nie jest wyraźne i, o ile rozumieć można, stanowi raczej ozdobę niż próbę charakteryzacji.

J. L.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ZEBRANIE W BIRMINGHAMIE

Dnia 18 lutego odbyło się w sali YMCA w Birminghamie w obecności 300 osób zebranie zorganizowane przez miejscowe Koło Stronnictwa Narodowego. Na zebraniu tym przybyły z Londynu prezes Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego dr Bielecki wygłosił przemówienie polityczne obejmujące przegląd sytuacji międzynarodowej, rzut oka na kraj i uwagi o położeniu emigracji.

Przewodniczył inż. W. Macieliński. Po referacie odbyła się bardzo ożywiona dyskusja, w której zabierało głos kilkunastu mówców, w tym również przeciwnicy polityczni ruchu narodowego.

ZEBRANIA POLSKIE W BRUKSELI

Polonia belgijska miała okazję gościć w początku lutego przybyłego z Wielkiej Brytanii p. Wiktora Trościankę.

Na zebraniu publicznym Stronnictwa Narodowego w Brukseli p. Trościanko wygłosił dłuższy odczyt na temat „Konieczności polityki polskiej w obecnej sytuacji międzynarodowej i w kraju“. Wszechstronny — zwłaszcza jeśli idzie o najnowsze wiadomości z kraju — ten odczyt, którego celem było przypomnienie niezbędności prowadzenia przez emigrację polityczną polityki prawdziwie polskiej, niezależnej od obcych wpływów, a mającej jako naczelne zadanie przywrócenie wolności narodowi polskiemu i odbudowanie niepodległego państwa — odznaczał się ponadto rzadko spotykaną starannością formy literackiej.

Zebrania publiczne tego rodzaju są żywym przejawem zewnętrznej działalności Stronnictwa Narodowego w Belgii. Cieszą się też zawsze dużym powodzeniem przyciągając nie tylko członków i sympatyków SN lecz również większość jego politycznych przeciwników. Jak zwykle też, po odczycie p. Trościanki wywiązała się bardzo ciekawa dyskusja.

P. Trościanko dał się też poznać gronu intelektualistów polskich jako poeta, dając wieczór autorski zorganizowany dla niego w Polskim Instytucie Naukowym w Belgii. Wystąpił też z felietonem-wspomnieniem związanym z jego rodzinną ziemią wileńską w ramach Tygodnika Mówionego w domu TPP w Brukseli. Wystąpienie to znalazło szczególnie miły oddźwięk wśród licznie przybyłych członków Związków Ziem Wschodnich R.P.

ODCZYT DLA BELGÓW

Znany dobrze publiczności polskiej w Belgii ze swych wystąpień na zebraniach publicznych Stronnictwa Narodowego p. Wojciech Grabowski wygłosił 12 lutego na zaproszenie klubu politycznego „Septembre“ w ramach jego tradycyjnej akcji odczytowej przemówienie w języku francuskim pt. „La Pologne dans la tourmente“.

Przedstawiony w gorących słowach przez prezesa belgijskiego Związku

Oficerów Rezerwy p. Goerges Rhodius licznie przybyłej publiczności stanowiącej elitę polityczną kół katolickich i monarchistycznych Belgii — p. Grabowski mówił w pierwszej części swego odczytu o polskim państwie podziemnym i jego walce z okupantem niemieckim. Omawiając następnie obecne nasilenie sowieckiego terroru w Polsce i niebezpieczeństwa wynikające z jego metod, mówca wskazał na zasady, od których niezależna polityka polska nie może odstąpić w walce o niepodległość i granice państwa.

Odczyt p. Grabowskiego, wygłoszony doskonałym językiem francuskim i ciekawie urozmaicony, spotkał się z bardzo serdecznym przyjęciem ze strony publiczności belgijskiej oraz wywołał echa w większości dzienników brukselskich różnych kierunków.

ZE STRONNICTWA NARODOWEGO

Centralny Wydział Wykonawczy Stronnictwa Narodowego na posiedzeniu w dniu 25 stycznia postanowił jednogłośnie skreślić z listy członków Stronnictwa p. Jana Matłachowskiego.

P. Matłachowski w rozesłanym do prasy liście oświadczył, że podejmuje działalność polityczną niezależnie od władz Stronnictwa Narodowego, przez co sam się postawił poza ramami organizacji SN.

List p. Matłachowskiego opublikowały pisma zbliżone do kierunku Mikołajczyka a mianowicie „Jutro Polski" w Londynie, „Narodowiec" w Lens i „Wiadomości Polskie" w Sztokholmie.

P. Matłachowski powołuje się na na to, że został wybrany prezesem Stronnictwa Narodowego w kraju. Stanowisko takie w ogóle nie istniało.

POLAKOM W NIEMCZECH

„Nowa Polonia" Koło zorganizowane przy chicagowskiej „Macierzy Polskiej" a złożone z uchodźców polskich przybyłych do USA z obozów w Niemczech zorganizowało przez swój Wydział Pomocy Wysiedleńcom, na którego czele stoi p. J. Przyłuski, akcję zbiórkową na gwiazdkę dla Polaków w Niemczech. W wyniku — Polacy w Niemczech otrzymali już (poprzez centralę Caritasu) 1.000 dolarów a zbiórka jeszcze trwa. Rzutkiemu Kołu prezesuje ks. płk J. Wojciechowski.

LISTY DO REDAKCJI

PROF. HALECKI O „PRAWACH" NIEMIECKICH DO ŚLĄSKA

Szanowni Panowie,

Korespondencja p. Józefa Drzyzgi pt. „O czym marzą Niemcy", ogłoszona przez Szanownych Panów w nrze z 15 grudnia ub. r. (nr 166, str. 9), zawiera wzmiankę o mnie, o której sprostowanie proszę.

Nieznany mi zupełnie prof. B. v. Richthofen, w referacie wygłoszonym w Kolonii na zjeździe uchodźców niemieckich ze Śląska, miał chwalić mnie (tak samo zresztą jak Narodowe Siły Zbrojne) za przychylne rzekomo Niemcom zdanie w sprawie Ziem Odzyskanych, a w szczególności za uznawanie „bezspornego prawa Niemiec do Śląska".

Swierdzam kategorycznie, że na taką „pochwałę" na szczęście nie zasłużyłem, lecz przeciwnie, w myśl solidarnej w tej sprawie opinii wszystkich Polaków, stale w piśmie i w słowie występuję w obronie naszych obecnych granic zachodnich. Czynię to między innymi w artykule „Poland", który od kilku lat ogłaszam w roczniku (Annual) najpoważniejszej encyklopedii tutejszej (Americana), gdzie co roku, występując w obronie prawowitego rządu polskiego w Londynie i przeciwko komunistycznemu reżimowi warszawskiemu, stwierdzam, że **jedynie** w sprawie Ziem Odzyskanych stanowisko tego reżimu odpowiada istotnym postulatom narodu polskiego. Nadto w r. 1948, na zjeździe Kongresu Polonii Amerykańskiej w Filadelfii, byłem przewodniczącym komisji dla spraw granic Polski, która na podstawie mojego referatu, jak to ogłoszono w całej prasie polsko-amerykańskiej, opracowała rezolucję, jednogłośnie uchwaloną przez Kongres, żądającą jako zachodniej granicy Polski linii Odry i Nysy Łużyckiej, a jako granicy wschodniej — linii traktatu ryskiego.

O „prawach" niemieckich do Śląska nigdy nie pisałem ani też nie mówiłem, lecz przeciwnie, dotykając spraw śląskich w moich ogólnych opracowaniach dziejów Polski, zawsze podkreślałem odwieczną polskość tej dzielnicy.

W nadziei, że Szanowni Panowie zechcą ogłosić to sprostowanie w swym piśmie, łączę wyrazy prawdziwego poważania

O. Halecki

Fordham University, New York.

NA MARGINESIE

HABENT SUA FATA ARTICULI

Prasa niemiecka z uciechą przedrukowuje artykuł ogłoszony przed pięciu laty w wydawanym przez brytyjskie władze okupacyjne w Oldenburgu piśmie „Nordwest-Nachrichten". Dziennik ten pisał:

Rzecz nie do pojęcia, a jednak prawdziwa: są jeszcze liczni byli oficerowie niemieccy i szeregowi, którzy serio wierzą, że Anglosasi, by zrobić im przyjemność, zaczną wojnę z Rosją i do tej wojny będą ich potrzebowali. Nikomu z nich nie wpada do głowy, że w tym wypadku z Niemiec nie zostałoby dosłownie nic, że cała ludność uległaby wyniszczeniu. Ci hitlerowscy głupcy mają nadzieję tylko na wojnę, wojnę z Rosją. Wciąż przychodzą i chcą być żołnierzami u Anglików. Czy nie macie dość wojska i wojny, wy nieuleczalni głupcy? Czego spodziewacie się po wojnie z Rosją? Czy sądzicie, że Anglosasi mają dla was więcej sympatii niż dla Rosji? Że ponieważ są „„kapitalistami" (w Anglii jest zresztą rząd socjalistyczny) boją się „bolszewizmu" i chcą „zapobiec" jego rozszerzaniu się? Jest to stary idiotyzm hitlerowski, który pokutował w głowach Hitlera, Hessa i Ribbentropa, ludzi, którzy nie znając świata anglosaskiego, wyobrażali sobie, że jest on naturalnym partnerem przeciw „bolszewizmowi".

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734.